

Książę

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Biuro „C” *Tajne! Informator o nielegalnych antypaństwowych organizacjach i bandach zbrojnych działających w Polsce Ludowej w latach 1944-1956.* Warszawa 1964. (Wznowienie: Wydawnictwo RETRO, Lublin 1993). W dziale *Organizacje młodzieżowe* (w tym klerykalne) wymienione są, pośród wielu innych, takie oto sprzysiężenia: Bracia Atomy; Chór Walki z Komunizmem; Eskadra Wyzwolicielei Ziemi Kieleckiej z Komunizmem; Młoda Gwardia Przeciwko Komunizmowi; Szajka Krajowa; Banda Czerwonego Byka; Kochaj Ryzyko; Mściwi Sęp; Tajna Organizacja Patyków; Tajna Organizacja Wynalazców i Odkrywców. Obok podano liczbę członków (od kilku do kilkudziesięciu), ich wiek (12-16 lat), środowisko (najczęściej paczka szkolna, podwórkowa, przyjaciele z rozwiązanej w 1949 roku drużyny harcerskiej albo nawet zuchowej, ministranci). Data powstania, data rozbitcia, nazwiska, pseudonimy, zastosowane środki.

Skóra cierpnie.

I lekko się robi na sercu, że nie znalazła się na tej liście Polska Partia Podziemna (PPP), która działała w Warszawie na Bielanach w styczniu i lutym 1953 roku pod moim przywództwem.

Mężczyzna rośnie, krzepnie, poważnieje, jest ogromnie spostrzegawczy, ma świetną pamięć, dużo czyta, rozgląda się bystro po okolicy, chłonie i analizuje fakty, stawia zasadnicze kwestie, staje się odpowiedzialny za siebie i innych – aż nadchodzi dzień, w którym koniecznie, teraz, zaraz, natychmiast, musi dokonać czegoś wielkiego.

Ze mną było podobnie.

Niemalą czynników złożyło się na powstanie Polskiej Partii Podziemnej: lektura zakazanej książki *Kamienie na szaniec*, piosenka *O, mamo, otrzyj oczy, z uśmiechem do mnie mów, ta krew, co z piersi broczy*, to za nasz, za nasz Lwów, fotografia uśmiechniętego chłopca w harcerskim mundurku, dźwigającego torbę powstańczej poczty, przedwojenna powieść dla młodzieży *Zdzich szuka ojca* o małym warszawiaku, który podróżując z wielkimi przygodami przez Gdynię, Oslo (gdzie wyciągnął ze stawu tonącego chłopca, przypadkiem królewicza), Laponię, wyrwał z łap bolszewickich ukochanego tatusia; lecz bezpośrednim impulsem było opowiadanie w „Płomyczku”, jak to nadwiślański pastuszek z okolic Połańca uratował życie Tadeuszowi Kościuszce, za co otrzymał pierścień z napisem „Oczyczna – Obrońcy Swemu”. Pierścień był za duży, zsuwał się z palca. – Nie myślałem, że i dzieci będą nim nagradzać – powiedział wzruszony Naczelnik.

Pastuszek z czytanki miał dziesięć lat, ja niecałe dziesięć i pół, niepodobna było zwlekać.

Zebranie organizacyjne Polskiej Partii Podziemnej odbyło się w piwnicy spalonego domu przy ulicy Kasprowicza róg Babickiej.

ANTONI KROH

Starorzecze Książę. Telefony. Zegar

Te ruiny to było nasze królestwo. Wały się tam książki, połamane meble, kafelki o najwymyślniejszych kształtach i kolorach, wspaniałych do gry w klasy. Kiedyś Zbyszek wygrzebał w gruzach pudło, wyściełane granatowym aksamitem, pełne dziwnych szybek. Oglądając pod światło, można było dojrzeć górskie krajobrazy, jakieś tajemnicze zamki, panów w śmiesznych mundurach z rogatymi czapkami, konie biorące przeszkody, a nawet rozebrane kobiety. Wejście maskował fortepian bez wieka i przednich nóg, przysypany śniegiem; można było sięgnąć na teczce i zjechać niby z górki po obnażonych strunach. Zjazd był wprawdzie króciutki, ale za to wspaniale hałaśliwy. Aby dostać się do piwnicy, należało przeczołgać się pod fortepianem, dorosły nie był w stanie tego dokonać, ani nawet się domyślić, że jest tu jakieś wejście.

W krótkim, zwartym przemówieniu, starannie dobierając słowa, zarysowałem plan działania, a także cele organizacji oraz jej strukturę. Ja miałem tytuł księcia, Waldek i Marcin zostali hetmanami, Zbyszek i Stasiak atamanami. (Uprzejmie dziękuję p. Henrykowi Sienkiewiczowi za inspirację). Zbyszek trochę sarkał. Obiecałem szybki awans, jeśli zasłuży.

Plan był jasny: rozrzucić ulotki, opanować Spółdzielnię Pracy „Metalowiec” na Słodowcu, aby miał nam kto naprawiać zdobyczne samochody i broń, zajmując lotnisko na Chomiczówce, następnie Belweder, stamtąd wydamy odezwę do narodu, a później się zobaczy.

Dysponowaliśmy gumową drukarenką, którą Stasiak dostał na Gwiazdkę. Mianowałem go więc atamanem-redaktorem. W niedzielę był z rodzicami na Trasie W-Z, jeździli ruchomymi schodami, tato spotkał kolegę i mruknął „Stalinie skurwysynie zabierz schody oddaj świnię”, kolega się ośmiał, mama fuknęła, żeby byli cicho. To by się nadawało na ulotkę.

– Nie, „Precz ze Stalinem” lepsze, mniej literek.

– Ale tamto jest do wiersza, łatwiej zapamiętać.

– Nasza partia nie będzie używać brzydkich słów, to niegodne Polaka. Co innego do kogoś na ulicy, co innego na piśmie. Przecież jak rozrzucimy ulotki w szkole, to pierwszaki się dorwą.

– Papier jest, mamy zeszyty, każdy niech da po jednym.

– Nie ma na co czekać.

Zbyszek zwędził ojcu teatralną lornetkę, niezbędną do obserwacji lotniska. Przyznałem mu stopień hetmana. Ojciec odkrył brak lornetki, ale Zbyszek nie wydał nikogo. Może dlatego, że ojciec o nic nie pytał, tylko nakrzyczał i lornetkę odebrał.

Mniej więcej wtedy wybuchła w naszej szkole moda na miecze i szable, wpinane w klapy marynarek. Ta moda, przynajmniej z żalem, nie zrodziła się w szeregach PPP, choć wyrastała z tego samego ideowego pnia. Na szpilkę nasadzało się dwa skrawki kolorowej izolacji, ściągniętej zębami z kabla telefonicznego, to był miecz. Zakrzywiona szpilka z plastikową klingą przystaczała się w szablę. Wszyscy mężczyźni z młodszych klas (może i ze starszych, nie umiem powiedzieć) mieli takie odznaki. Nauczyciele pieklili się, zabraniali, odbierali, robiliśmy nowe, aż ni z tego, ni z owego moda przeminęła.

Obsadzenie spółdzielni Metalowiec nie postępowało, atmosfera robiła się coraz bardziej paskudna. Doły partyjne drwiły ze mnie, co absolutnie nie powinno mieć miejsca. W dodatku Waldek uznał, że styczeń jest najlepszy na powstanie, czego dowodzi nazwa powstania styczniowe. Nauczył nas kujawiaczka o drzewach w świętokrzyskim lesie, które z czułością witają partyzantów. I tylko stare wiekowe modrzewie wiedzą, czego żadne inne drzewo nie wie. Pamiętają bowiem rok krwawych zamieci, sześćdziesiąty trzeci. Postawił wniosek, by „sześćdziesiąty trzeci” zamienić na „pięćdziesiąty trzeci”, a PPP będzie miała hymn. Tylko z powstaniem trzeba się pospieszyć, bo do końca stycznia zostało niewiele czasu.

Zwlekałem, nie mógł tego znieść, przyszedł do mnie do domu na zasadniczą rozmowę. – Jak masz na imię, miły kawalerze? – spytała Babcia. – Waldek. Że też pani tak od razu poznała, że nie jestem żonaty. Babcia była wyższa ponad takie impertynencje. Co ta głupia Mniszkówna narobiła – mruknęła – teraz co drugi to Waldek.

Nie miałem wyjścia – obiecałem, że zredaguję manifest, a u Mamy w biurze skombinuję tusz do stempli.

I oto stanąłem przed najtrudniejszym problemem: jak sformułować cele i zadania? Nie chciałem narażać kolegów na niebezpieczeństwo, póki nie nabędę głębokiego przeświadczenia, że ulotka spełni swoje zadanie, to znaczy porwie tłumy. Prosta uczciwość wymagała, by żądając od żołnierzy najwyższej ofiary, dać im przekonującą, szlachetną ideologię.

Dni galopowały, doły partyjne sarkaly coraz natarczywiej. Dowiedziałem się z poufnych źródeł, że Waldek proponował zdegradować mnie do stopnia atamana, a księciem mianować kogoś odpowiedniejszego. Moja partia stawała się przedmiotem kpiny i złośliwości, różne plugawe przezwiska wykrzykiwano na mój widok od ulicy Podczaszyńskiego aż po aleję Zjednoczenia. O tym, że nazwa tej ulicy nie upamiętniała zjednoczenia PPR z PPS, co uważałem za oczywistość,

lecz zjednoczenie Polski w 1918 roku, dowiedziałem się znacznie później. Podobnie było z wielkim budynkiem, który za moich czasów, zaopatrzonej w wielką tablicę, nosił dumną nazwę Dom Młodzieży im. Feliksa Dzierżyńskiego; dopiero potem się dowiedziałem, że był to słynny „Nasz Dom” Janusza Korczaka.

Sytuacja mnie przerosła. Chodziłem markotny, czułem się jak w labiryncie. Nic mnie nie cieszyło. Starłem się być jak najdłużej w domu, zaszywałem się w swój ulubiony kąpielizna za szafą i popłakiwałem. Któregoś dnia zasnąłem tam, zwinięty w kłębek; wyczerpany, sterany życiem.

Mama wróciła z pracy jak zwykle, czyli późnym wieczorem. Rozebrała mnie, położyła do łóżka.

Następnego dnia była niedziela. Mama kazała zmierzyć temperaturę. Miałem kilka kresiek więcej. Ku mojemu zdumieniu i wielkiej radości nie wsadziła z powrotem do łóżka, lecz zaproponowała wspólny spacer.

Świeciło słońce, mróz przyjemnie szczypał w policzki. Zaraz za pętlą tramwajową, pośród rzadkiej sośniny, wylaniały się świeże mury, otoczone rusztowaniami.

– Nie wiesz synku, co tu budują?

– Szpital. Tutaj pracują ci, którzy walczyli o Polskę.

– Że co?

– No, więźniowie. Więźniowie budują ten szpital. Pilnują ich strażnicy z pepeszami i psami. Chłopaki chodzą popatrzeć.

– A skąd wiesz, że oni walczyli o Polskę?

– No, jak to? A za co wsadzono by ich do więzienia?

– Może to kryminaliści.

– Co to znaczy kryminaliści?

– No, złodzieje, bandyci, rabusie...

– Za to też wsadzają do więzienia?

Spojrzała na mnie uważnie.

– Nie wiedziałeś o tym?

– Nie. Czytałem tylko o ludziach, którzy w więzieniach cierpieli za Polskę. Żołnierze walczą o wolność, a jak nie polegą, to potem siedzą, a siepacze ich siepią. Jak się mówi, siepią czy siepają?

W Lasku Bielańskim było pustawo. Wtedy rosły tam jeszcze kilkusetletnie dęby o wspaniałe powykęcanych konarach, ale za to u wejścia nie było tablicy, że to rezerwat, resztką Puszczy Mazowieckiej w środku miasta, unikat na skalę europejską. Minęliśmy skocznię narciarską, przyprószoną świeżym śniegiem. Przeszedł ksiądz w czarnej sutannie; machał rękami, wyglądał jak wielka wrona. Mama opowiadała o ptakach, drzewach. Potem zeszło na niedźwiedzie, które śpią przez całą zimę, ssąc łapę. Bardzo lubią miód.

Staliśmy na skarpie, słuchając kościelnej sygnaturki. Woda w Wiśle była granatowa, prawie czarna. Spływała kra. Wrony krążyły, przysiadły na lodowych bryłach, płynęły, kiwając śmiesznie ogonami, by po chwili poderwać się do lotu. Zrobiło mi się jakoś dziwnie miękko i ciepło, rozpląkałem się i zacząłem beładnie opowiadać o Polskiej Partii Podziemnej, o strachu, który siadł na mnie i nie chce odfrunąć, o tym, jak miło i trudno być księciem.

Spojrzałem na Mamę i urwałem, bo była jakaś dziwna.

– Chodź – powiedziała – pokażę ci coś ciekawego.

Obejrzelśmy grób Staszica, domek Wołodjowskiego, bramę, o którą Zagłoba rozbił pustą flaszkę.

– Wiesz, kto to był Stanisław Staszic?

– Wiem, był postępowy.

– No, dobrze. A więcej?

– Co więcej? To nie wystarczy?

Dała spokój Staszicowi i zaczęła mówić urywanymi zdaniem.

– Widzisz, synku, dobry dowódca... no... czy wiesz, dlaczego upadło powstanie styczniowe? A dlaczego nie powiodło się listopadowe? Bo było nieprzemyślane. Musisz sobie zdać sprawę, że Polska Partia Podziemna nie ma szans na zwycięstwo, żadnych szans. Ja ci niczego nie zabraniam, przecież jesteś duży i sam musisz decydować; ale bądź nie tylko odważny, bądź przede wszystkim mądry. Rozwiąż tę swoją partię. Zrób to dla Polski.

Na pętli wsiedliśmy w piętnastkę, jechaliśmy do śródmieścia, do cukierni.

– Czemu w każdym tramwaju jest napis „Nie pluć”? Czy to znaczy, że wszyscy plują? Czy Mamusia nie pluje w tramwaju, bo tak jest napisane? Mamusiu, a jeszcze niedawno w tramwajach były skrzynki z gazetami, „Sami bierzemy, sami płacimy”, czemu je pozdejmowano? Ludzie nie brali czy nie płacili?

Zjadłem dwa wielkie ciastka i obiecałem, że odłożę konspirację na później.

W poniedziałek zwołałem odprawę. Powiedziałem (jak mi Mama poradziła), że z Komendy Głównej przyszedł rozkaz demobilizacji. Mamy na pewien czas zaniechać wszelkiej działalności. Zakonspirować się i czekać na rozkazy, bez rozkazu nie wolno nawet kiwnąć palcem w bucie. Spocznij.

– Jak nie chcesz, to łaski bez, możesz do nas nie należeć – oświadczył Waldek. – Ale my będziemy walczyć dalej.

– Jesteś w wojsku! – krzyknąłem. – Obowiązuje cię posłuszeństwo! Jak nie, zostaniesz rozstrzelany.

– Mam to w nosie!

– Ale mordę ci przedtem skują i zrobią z nosa pędzel. Nie wiesz, jak wyglądają sądy wojenne?

Nie pamiętam, czy akurat to poskutkowało, ale partia przestała istnieć.

Straciłem jednak czterech najbliższych kolegów. Nikt nie chciał się ze mną bawić. Byłem ośmieszony, skompromitowany, beznadziejnie samotny.

– Niedługo wyjedziesz w góry. A teraz pisz pamiętnik.

Dostałem na ten cel obłądną kwotę, nie pamiętam ile. Kupiłem przewspaniały pamiętnik, z grzbietem przewleczonym wstążeczką i bukietem czerwonych róż na okładce.

– No jak, piszesz? – spytała po paru tygodniach.

– Piszę.

– A możesz mi pokazać?

– Proszę.

1 marca 1953. Wstałem, zjadłem śniadanie, dostałem cztery plus z matmy, było zimno, Babcia śpiewała przy pruciu swetra, poszłem spać. 2 marca 1953. Wstałem, padał śnieg z deszczem, zapomniałem zeszytu z polaka, pani powiedziała, że mam dziurawą głowę, wróciłem do domu. Babcia mnie posłała po chleb, jak wróciłem, to powiedziała, że mnie to tylko po śmierć posłać. Zrobiła nam kolację, po kolacji czytała *Potop*, prosiliśmy, żeby czytała dalej, ale nie czytała, poszłem spać. 3 marca 1953. Nasza klasa idzie pojutrze do teatru na *Królową Śniegu*, a ja nie, bo przeczytałem w gazecie, że Stalin ciężko chory.

Mama trochę zeszytniała.

– To znaczy, że... że ty uważasz... że nie wypada iść do teatru, ponieważ Stalin jest ciężko chory?

Roześmiałem się.

– A skąd. Tylko że jak Stalin kipnie, to teatry pozamykają i dwa złote za bilet przepadną.

Sprawdziło się co do joty. Czemuż miałbym się nie pochwalić, że ja jeden z całej klasy to przewidziałem.

Telefony

Na początku okupacji firma telefoniczna z Berlina otworzyła filię w Warszawie. Na założenie telefonu czekało się kilka dni, kosztowało stosunkowo niewiele. Instalował, kto mógł. Niemcom chyba wtedy rozum odebrało – przecież gdyby nie telefony, konspiracja z pewnością nie byłaby tak skuteczna. Firma zgarnęła furę pieniędzy, ale jednocześnie położyła ogromne zasługi dla polskiego państwa podziemnego. Wskaźnik aparatów telefonicznych w przeliczeniu na tysiąc mieszkańców Warszawy w dniu wybuchu powstania osiągnięto ponownie dopiero na początku lat siedemdziesiątych.

Mieliśmy w mieszkaniu telefon, więc żyję. Podobnie jak wielu warszawiaków.

Mama opowiadała, jak latem czterdziestego drugiego roku, mniej więcej na miesiąc przed moim urodzeniem, umówiła się z kimś na mieście. Już była w drzwiach, kiedy ten ktoś zadzwonił żeby odłożyć spotkanie, bo na rogu Chełmskiej i Czerniakowskiej śnieżyca. Niech Mama nie wychodzi, bo się przeiębi. Śnieżyca w środku lata, taki był język tamtych rozmów telefonicznych. Mama odbierała wiadomości dla Stryja Tadeusza, żeby wziął trzy najsolidniejsze rakiety oraz tuzin piłek cytrynowych i w piątek o siódmej był na kortach, albo że jest zaproszony na splay kajakowy, wiosła własne, zbiórka tam, gdzie zawsze, względnie żeby upiekł czekoladowy tort z migdałami, dodając do ciasta siedem deko rodzynek i dwanaście ziarenek pieprzu. – Cóż za dziecinada, przecież to na kilometr pachnie szyfrem! Jeszcze rozumiem tort z pieprzem, ale jaki cymbał wymyślił te rakiety, przecież korty są *nur für Deutsche!* – irytowała się Mama. Tadeusz tłumaczył, że nic na to nie poradzi – u nich w „Parasolu” panuje

zabobon, że im głupsze albo śmieszniejsze hasło, tym lepiej akcja się powiedzie. Zresztą to nie zabobon, tylko najszersza prawda, sprawdzona doświadczalnie.

W ciągu pierwszych kilkunastu lat Polski Ludowej nie mieliśmy telefonu, ponieważ nie mieliśmy samodzielnego mieszkania.

Skoro tylko dostaliśmy nakaz na nowe mieszkanie, Mama złożyła wniosek. Był to formularz, z którego wynikało, że wnioskodawca chce rozmawiać z domu przez telefon i gotów jest za to płacić. Czyli nic nie wynikało. Ważniejsze były załączniki, zwane podkładkami, dziś pogardliwie kwitami. One dawały odpowiedź na pytanie, kim jest wnioskodawca. Mama zgromadziła, co się dało: redakcja zapewniała, że musi się ze swoją pracownicą we dnie i w nocy komunikować; lekarz że babcia miewa ataki i niedobrze jest wzywać pogotowie z ulicznego automatu, bo tymczasem może umrzeć. Nawet Komenda Hufca Mokotów Zachód Związku Harcerstwa Polskiego lgała w żywe oczy na całą stronę A4, że bez telefonicznych kontaktów ze mną po prostu nie da sobie rady, kończąc tradycyjnym: Czuwaj! Innych załączników nie pamiętam, ale było ich ogółem kilkanaście. Odpowiedzieli stereotypowo, że zainstalują, jak będą mieli moce przerobowe, kable, aparaty i numery, czyli najwcześniej za lat dziesięć. No i dobrze – nikt się przecież nie spodziewał, że od razu. Chodziło jedynie o zajęcie miejsca w kolejce.

Telefon był wtedy dobrem bardziej upragnionym niż samochód. Gazety zachodziły w głowę, komu jest potrzebniejszy: lekarzowi, profesorowi uniwersytetu, publicyście, a może zasłużonemu emerytowi? (Emeryci dzielili się na zasłużonych i resztę.) Pewien pan się przechwalał w towarzystwie, że zobaczył monterów na swojej klatce schodowej, wyskoczył po pół litra, zaprosił i spytał przymilnie, czy nie mogliby przy okazji założyć również u niego? Odpowiedzieli, że owszem, ale styki należy posmarować, żeby nie śniedziały. – Ależ rozumiem, oczywiście, jestem na to przygotowany! Zainstalowali na poczekaniu, następnego dnia zgodnie z instrukcją poszedł do urzędu, wywołał panią Haneczkę i uiścił. Pani Haneczka przełożyła wniosek z jednego pudełka do drugiego. Pan potoczył dumnie wzrokiem, sprawdzając wrażenie, jakie uczynił, a gdy odszedł, ktoś ze słuchaczy westchnął: cóż za wodolejca...

Osoba, której przydzielono telefon, nazywała się urzędowo abonentem. Aparat i kabel w mieszkaniu był własnością Urzędu. Aparatów w wolnym handlu nie było. Podobnie wtyczek. Telefon był zamontowany na stałe; abonent nie mógł go wyłączyć, jeśli np. przyszła mu ochota porządnie się wyspać. Co jakiś czas przypomniano, że ogłoszenia prasowe: Zamienię mieszkanie, superkomfort (to znaczy gaz, łazienka i kaloryfery), telefon... są niezgodne z prawem, bo abonent opuszczający mieszkanie zobowiązany jest zgłosić ten fakt w urzędzie telekomunikacyjnym; pozostawienie aparatu jest wykroczeniem i podlega karze. Jeśli na przykład mąż po rozwodzie wyprowadzał się z mieszkania, a telefon był

zarejestrowany na niego, miał obowiązek to zgłosić. Telefon wyłączano i zabierano, całkowicie zgodnie z prawem. Żona była bezsilna. Mogła złożyć podanie i czekać od nowa, niekiedy kilkanaście lat. Czasem mąż robił żonie tę pożegnalną złośliwość, czasem nie.

Gdy abonent przenosił się do wieczności, rodzina nie zgłaszała tego faktu w urzędzie, słusznie obawiając się utraty telefonu. Warszawska książka telefoniczna pełna była nazwisk osób zmarłych, które regularnie płaciły rachunki. Ministerstwo Łączności świetnie o tym wiedziało, a chcąc uporządkować kartotekę, co jakiś czas ogłaszało tak zwaną amnestię telefoniczną. Okazywało się, że trzydzieści, czterdzieści procent telefonów mieszkaniowych wymagało aktualizacji danych. Niektórzy bali się wychylić, nie ufali w szczerą intencję ministerstwa. Mama figurowała w spisie abonentów jako Zofia Krok, znajomi radzili jej siedzieć cicho, bo przy tak dobrej okazji mogą zabrać telefon. Ostatnia taka amnestia była w lipcu dziewięćdziesiątego roku. Można było wtedy (za opłatą) przerejestrować aparat z poprzednika na siebie bez nieprzyjemnych konsekwencji.

Termin płatności rachunku wynosił siedem dni, zaliczek nie przyjmowano, więc po sezonie urlopowym następował sezon podań o ponowne przyłączenie telefonu do sieci (oraz sezon felietonów gazetowych na ten temat). Ale nie dotyczyło to ludzi wybitnych. Przynajmniej niektórych. Na początku lat sześćdziesiątych pracowałem u pana Wańkowicza, który miał powody sądzić, że jego telefon jest na podsłuchu. Ktoś mu poradził, żeby przestał płacić rachunek. Jeśli naprawdę podsłuchują, telefonu nie wyłączą. Gdy się z nim rozstawałem, był dłużny urzędowi telefonów większą sumę, twardo nie płacił, a urząd znosił to z anielską cierpliwością.

Wyprowadzając się z Warszawy, zgłosiłem rezygnację z telefonu. Dostałem zaświadczenie, że w nowym miejscu zamieszkania należy mi się poza kolejką. Tam obejrzelni dokument z wyraźnym zainteresowaniem, po czym zafrasowali się stanem moich władz umysłowych. – Drogi panie, tu nie Warszawa. Złóż pan podanie i czekaj pan spokojnie. Złożyłem, z grubym plikiem załączników, między innymi z wydawnictwa Iskry (tłumaczyłem dla nich książkę). Urzędniczka przejrzała papiery, zerknęła na mnie uważnie. – Naprawdę pracuje pan w Iskrach? A może pan załatwić „Sztukę kochania” Wisłockiej? – Mogę spróbować. Opowiadałem o tym znajomemu, a ten obrzuca mnie takim samym spojrzeniem jak panienka z okienka i mówi: to załatw dwa egzemplarze. Żona narzeka, że mnie ciągle nie ma w domu, dam jej, niech choć sobie poczyta.

Mama mieszkała na Muranowie. Obok było przedszkole, które chciano rozbudować, więc zaproponowano jej przeprowadzkę. Postawiła warunek: telefon. – Ależ oczywiście! Załatwimy! Przenieśli Mamę na Mokotów, obiecali telefon w ciągu miesiąca, czekała spokojnie, a gdy miesiąc minął, okazało się, że termin też

minała, za późno na pretensje i reklamacje. Urząd Telefonów na Muranowie twierdził, że wszystkie papiery przesłał na Mokotów, na Mokotowie powiedzieli, że obietnice złożone przez Muranów ich nie wiążą, a telefonu nie dadzą, bo nie mają. Ale trzeba trafiać, zbliżyła się wybory. Usłuchałem rady przyjaciela, który młodość spędził w radzieckim Lwowie i o komunizmie wiedział więcej niż my, siadłem do maszyny i wystukałem pismo do komisji wyborczej: Niedługo wszyscy pójdą głosować na kandydatów Frontu Jedności Narodu. W kraju zapanuje radosna atmosfera. Ja niestety na wybory nie pójdę, nie mogę cieszyć się wraz z całym społeczeństwem, gdyż zostałam oszukana... po czym następował opis sprawy. Na oryginale podrobiłem podpis Mamy, kopię schowałem. Minęły trzy dni. Siedzimy z Mamą, rozmawiamy, aż tu puk puk, komisja. Sumitują się od progu, pytają, czy Mama łaskawie znajdzie czas, aby jutro wpuścić monterów. Mama uprzejma, choć nieco zdezorientowana. Komisja wychodzi, kłaniając się, przepraszając za najście. Wyciągam pismo. Mama czyta. Odkłada i mówi z podziwem:

– Ty idioto.

Zegar

Gdy Babcia wychodziła za Dziadka Felicjana w 1909 roku, Ciotka Bobińska z Piotrkowa dała jej ten zegar na szczęście, bo sama dostała go w ślubnym prezencie od swojej ciotki. Czyli zegar jest w naszej rodzinie od ponad stu lat. Ciemnowiśniowa, profilowana szafka, ozdobne mosiężne haczyki. Grube, nierówno walcowane szkło, biała tarcza, na niej rzymskie cyfry, pośrodku starożytnie litery *LE ROI a PARIS*. Teraz jest mój. Co jakiś czas reguluję według niego timer w komputerze, który się spóźnia mniej więcej pół minuty na miesiąc, a stary zegar idzie dokładnie.

Wisi w Serebryszczach w stolowym. Gdy rodzinę wyganiano, tykał sobie wesoło jak zwykle.

W parę lat po wojnie ni z tego, ni z owego odwiedziła nas w Warszawie Hańdzia, pokojówka. Jak nas odnalazła, nie wiem. Wpadła, wrzasnęła „dzień dobry”. Babcia, która właśnie kładła pasjansa, wzdrygnęła się, uniosła ręce niczym Piotr Skarga na obrazie, rozczapierzyła wyschnięte, powykręcane palce: Wszelki duch Pana Boga chwali! Hańdzia usiadła z impetem, krzyknęła, że nie będzie jeść ani pić (choć nikt nie zdążył jej zaproponować), śpieszy się, wpadła tylko na chwilę. Mieszka na ziemiach odzyskanych, świetnie jej się powodzi, ma dobrego niepijącego męża i hodowlę indyków. – A pani jak się miewa, pani dziedziczko? Jak pani astma? Toż niezdrowo tyle palić. – Proszę, niech Hańdzia nie nazywa mnie panią dziedziczką. – Kiedyś pani dziedziczka nie była taka nerwowa, ale cóż, nie dziwota. – Niechże Hańdzia mówi ciszej. – Przywiozłam zegar, może pani dziedziczce humor poprawi. Zdjęłam go ze ściany jak Niemcy uciekli, bolszewicy jeszcze nie weszli, a ludzie brali co popadło. Już

wtedy nie chodził. Pomyślałam, że go schowam i oddam pani dziedziczce, jak się kiedy, co daj Boże, spotkamy, przecie my razem niejedno przeszły, pani dziedziczka dla mnie jak rodzina, wiem, że to jedyna rzecz, jaką pani miała, wychodząc za pana dziedzica, sama pani dziedziczka kiedyś przy stole mówiła, że przyjechała do Serebryszcz w jednym paltocie i z ciotczynym zegarem pod pachą. – Proszę, niech Hańdzia nie mówi do mnie „pani dziedziczko”. – Dziękuję, chwalić Boga, nie narzekam. Mamy murowany dom, obejście, elektryku, wodociąg, z indykami robota świątek i piątek, nie było kiedy tego zegara odwozić, ale zawezwali mnie tu do Warszawy po linii przodujących drobiarzy, mają mi wręczać dyplom pochwalny, mówię do męża, odwiedzę panią dziedziczkę, powspominamy dawne dzieje. A co pan dziedzic, uchował się? Zdrowy? A dzieci? Panicz Felcio podobnież na wojnie zginął? A to kto, wnuczek? Czyj on? Panny Zosi? Boże, jaki podobny! Przepraszam, trochę brudny, gołębie po nim chodziły. Wypchałam go sianem jeszcze w Serebryszczach, jak jechaliśmy na zachód, żeby nie dzwonił po drodze. Pomyślałam, że i tak nic z niego nie będzie, to wyniosłam na strych, nie był mi padchadziaszczy, bo tej wiosny kupiłam nowe meble, a dla pani dziedziczki to zawsze pamiątka.

– To może następnym razem przywiezie mi Hańdzia indyka? Tylko żeby był oskubany i wypatroszony. Często są te zjazdy w Warszawie?

Mama wróciła z pracy późnym wieczorem. Obejrzała zegar, uśmiechnęła się, wyjęła żdźbło zza tarczy.

– Ciekawe, czy to naprawdę serebryskie siano.

Przetarła szafkę, powiesiła zegar na haku, który tkwił od poprzednich lokatorów.

Dostaliśmy nakaz na nowe mieszkanie. Mama zniosła zegar do naprawy, żeby go nie przewozić z innymi rzeczami i odebrać już po przeprowadzce. Stary zegarmistrz rozrzewnił się.

– Chyba wszystko w nim dobre, tylko mechanizm brudny. Sprężyna pęknięta, trzeba wymienić. Takiej sprężyny, jak była przedtem, żeby nakręcać co dwa tygodnie, nie dorobię, nie mam z czego. Zgadza się pani, żeby co tydzień? Jeszcze pochodzi, ale niech go pani daje do czyszczenia mniej więcej co dziesięć lat, tylko żeby to robił fachowiec. Bardzo panią proszę (tu pocałował mamę w rękę, przekrzywił głowę i zrobił słodką minę z przedwojennych filmów), niechże go pani nie oddaje do naprawy byle komu. Niechże się pani dobrze nim opiekuje, jak dzieckiem, żeby nas wszystkich przeżył. Dziękuję, że mi pani zaufała, dla mnie ta robota to święto.

Babcia umarła, ktoś starym zwyczajem zatrzymał zegar, tarczę zasłonił czarną chustką.

Parę lat później Zosia wyszła za męża. W Warszawie odbył się ślub, Piotr wrócił do Anglii, a Zosia złożyła podanie o paszport emigracyjny. Musiała załączyć zaświadczenie o wymeldowaniu, taki był wymóg. Na paszport czekała parę miesięcy, na skutki wymeldowa-

nia niecałe dwa tygodnie; przyszło pismo z kwaterek, że wedle norm zasiedlenia jeden pokój w naszym lokalu to pustostan, więc żebyśmy go w terminie siedmiu dni opróżnili, bo na ten pokój, z używalnością kuchni i łazienki, urząd wyda nakaz komuś innemu. Podstawa prawna taka i taka. Poniżej rytualne straszenie paragrafami, pieczęć, podpis. Okoliczność, że Zosia wciąż z nami mieszkała, dla urzędu kwaterekowego nie miała znaczenia.

Można było zapobiec kataklizmowi, składając podanie o zamianę mieszkania na dwa mniejsze. Mama przeniosła się do kawalerki na Muranów, ja do kawalerki na Mokotów, Zosia wyjechała.

Wkrótce wyprowadziłem się z Warszawy.

Minął jakiś czas, wpadłem do Mamy, patrzę, zegar stoi. Pchnąłem wahadło, idzie. Wpadłem następnym razem, znowu stoi.

– Zepsuty?

– Nie, czemu? Zatrzymałam. Nie chcę, żeby się zużywał. Żeby trybiki się nie wytarły, zanim będzie wisiał u kogoś z twoich dzieci.

Żachnąłem się. Pchnąłem wahadło. Ruszył. Wyszedłem na miasto, wróciłem po godzinie. Stał.

Zabrałem go, gdy likwidowaliśmy mieszkanie zmarłej Mamy. Przy okazji starannie go obejrzałem. Mechanizm był zakurzony, w szafce pełno drobnych dziurek.

Właściciel eleganckiego zakładu przy głównej ulicy oglądał zegar z lekkim obrzydzeniem.

– Szelc, nie warto naprawiać. Reperacja będzie kosztować (cena), a zegar nie jest wart więcej, niż (cena znacznie niższa od poprzedniej). Ostatecznie mogę go kupić na części. No, dałbym za niego ewentualnie... Bo ja wiem... (Poprzednio wymieniona cena plus dziesięć procent, w sumie równoważność dwóch takich sobie obiadów).

Zaniósłem zegar sto metrów dalej, do innego zakładu. Ściany niemalowane od lat. Goła, zakurzona żarówka zwisała na drucie z sufitu. Przytulna bida. Na jednej ścianie emblemat klubu sportowego Czarni Lwów i poślisk wycinek z gazety, oprawiony w ramki. Na drugiej Pan Jezus, kalendarz z panoramą Tatr, dyplom mistrzowski. Pudełka, pudełeczka, przegródki, szufladki.

Starszy pan się rozpromienił. Stary zegar, a w tak znakomitym stanie. Wyczyścić, nic więcej.

– Ile to będzie kosztować?

– Panie, ta co się pan boisz. Taż portek panu przez głowę nie zdejmę.

No i dobrze. Tydzień nie minął, znajomi konserwatorzy wymordowali drewnojady, uzupełnili ubytki w zdobieniach, pan zegarmistrz zrobił swoje. Powiesiłem zegar nad łóżkiem.

Nadszedł rok 1999, reforma służby zdrowia. Pięć godzin, potem jeszcze cztery i jeszcze dwie spędziłem w ZUS; trzeba było się dowiedzieć, jaka jest różnica między artystą a twórcą i co to jest pozarolnicza działalność gospodarcza, bo z notki w gazecie wynikało, że akurat to uprawiam. Dostałem bezpłatną broszurkę uświadamiającą. Mam smykałkę do języków obcych, ale ni cholery nie mogłem zrozumieć. Ostatecznie wyczytałem, że miesiąc w miesiąc mam im zanosić czterdzieści procent moich zarobków, ale nie mniej niż. Owo „nie mniej niż” znaczyło, po skrupulatnych obliczeniach, że ZUS ma prawo do stu dwudziestu, stu trzydziestu procent moich ówczesnych apanaży. – Jak nie, to sprawa sądowa i komornik – wyjaśniła urzędniczka, wręczając mi drugą bezpłatną broszurkę uświadamiającą.

– W kasie chorych powiedziano co innego.

– W kasie chorych się nie znają.

Pewnie byłem opryskliwy, bo czekając przed okienkiem przeczytałem w gazecie list czytelniczki, która pytała, czy komornik miał prawo wyjąć jej córeczce z uszu złote kolczyki, prezent od sąsiadki z okazji pierwszej komunii. I czy pomocnik komornika miał prawo wystawić rachunek 120 zł za trzymanie dziecka, które się wyrwało, a kolczyki wycenić na 90 zł, choć kosztowały znacznie drożej. Redakcja wyjaśniła, że owszem, miał takie prawo, lecz na wszelki wypadek powinien wypowiedzieć się w tej sprawie Rzecznik Praw Obywatelskich. Potem gazety pisały o przekrętach z komputeryzacją ZUS, że nie wiadomo, gdzie się podziało ileś tam milionów, prezes przysięgał w telewizorze, że wszystko jest w najlepszym porządku, ale po paru dniach nie był prezesem, przy czym jedni mówili to, a drudzy sio. Miał zostać dyrektorem przedsiębiorstwa Totalizator Sportowy, gazety dowcipkowały, że niebawem państwo będzie musiało dopłacać do totka, ale ostatecznie zaczął się gdzie indziej.

Wpadłem w figlarny nastrój, bo wyobraziłem sobie komornika, rozglądającego się po moim mieszkaniu. Ale się nachapie! Jak to dobrze, że nie jestem chciwy ani dziedzicznie obciążony. Trzeba będzie tylko wynieść zegar. Ale chwilowo niech wisi, może i mnie przeżyje.